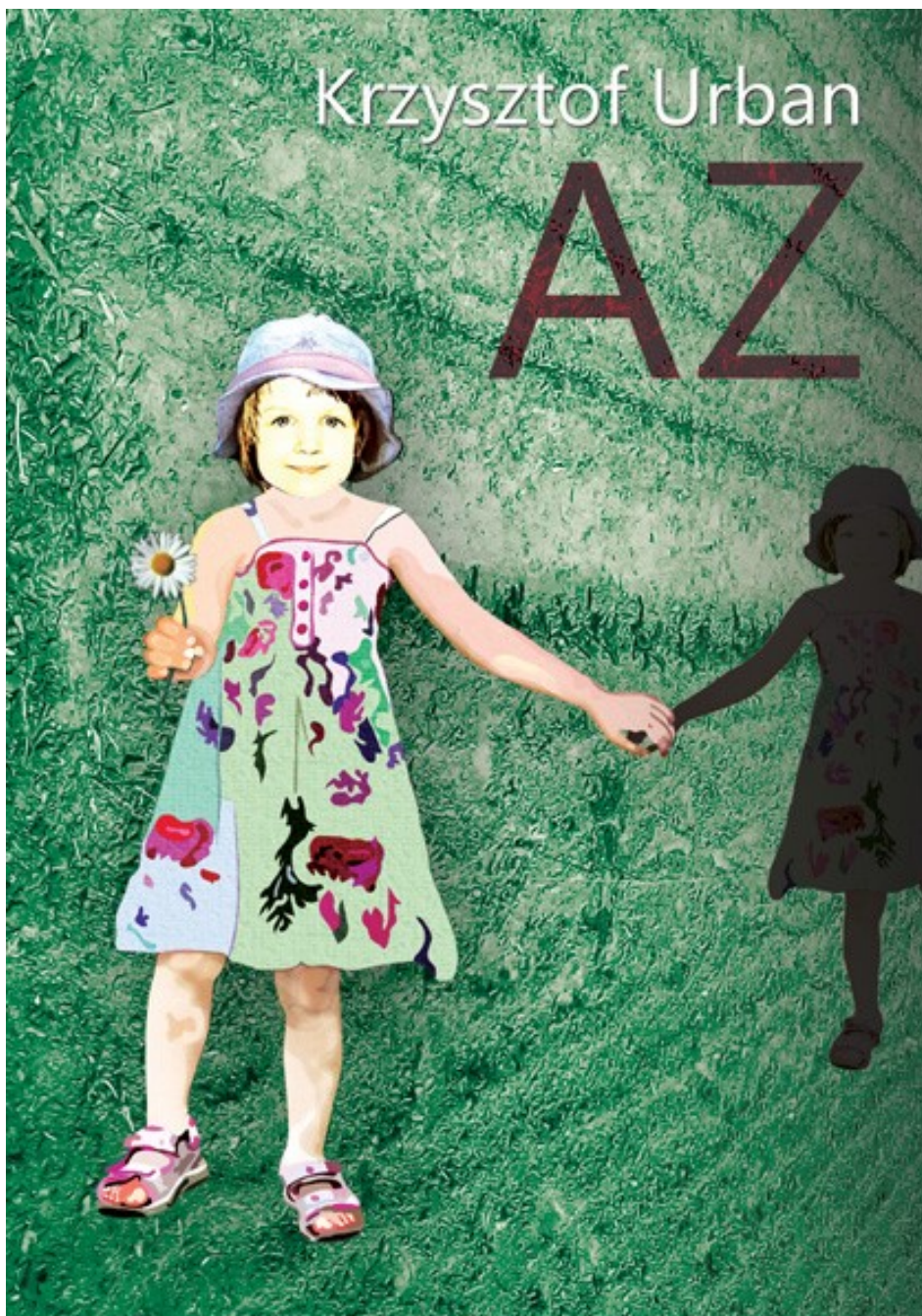


Krzysztof Urban

AZ



Krzysztof Urban

AZ

Pamięci Madzi, Samanty, Pocziwka

7.

– Dlaczego Madzia? – pytała samą siebie Judyta.

Jej strach narastał powoli. Najpierw beztrąsko przyjęła informację o bólu brzucha córki. Uznała, że dziecko cierpi na niestrawność. Później, gdy lekarka stwierdziła, że trzeba się przygotować na kilkudniowy pobyt w szpitalu, lęk przerodził się w panikę. Skierowanie do szpitala na oddział onkologiczny dla dzieci sprawiło, że odżyła historia rodziny. Dziadek Judyty zmarł na nowotwór. Ciotka na białaczkę. Córka dalekiej kuzynki leczyła się hematologicznie. Jej bliscy umierali. Gdzieś w niej to tkwiło. Rejestrowała te smutne wydarzenia, chodziła na pogrzeby, ale wtedy nie dotyczyło to jej samej. Myślała, że czas na wieczność jeszcze nie nadszedł.

Uspakajała córkę, choć jej strach był o wiele większy niż dziecka.

– Musimy mieć sto procent pewności – mówiła, płacząc.

Madzia bała się bólu, badań, ale nie umiała wybiec w przyszłość, wyobrazić sobie, że za chwilę może jej nie być na świecie. A ona?

– Pani Roztworowska Judyta? – Usłyszała pytanie i zdała sobie sprawę, że udzielając odpowiedzi, potwierdzi, że jest mamą Madzi.

Wiedziała, co to oznacza. Zwlekała. Na kilka sekund uczepiła się myśli, że pobrany wycinek pachwiny Madzi jest czysty, że zawiera jedynie strzępki skóry, ścięgien i krwi.

– Tak, to ja – odpowiedziała lekarce.

– Obraz pobranych próbek z pachwiny odpowiada chłoniakowi limfoblastycznemu typu B. – Usłyszała rzeczowy, choć zbolący głos lekarki.

Myślała, że świat się dla niej zatrzymał. Wszystko straciło sens. Jak automat zorganizowała życie sobie i dziecku w pokoju szpitalnym. W podobnych pokojach i w podobnych szpitalach miały spędzić najbliższe pięć lat, ale na początku leczenia każdy kolejny dzień był dla Judyty Roztworowskiej abstrakcją, niemą prośbą do lekarzy, do bliskich, do Boga, do wszystkiego, co mogło pomóc jej córce. Czas przestał istnieć. Dopiero spotkanie na oddziale z kuzynką Sylwią, której córka Samanta od roku leczyła się hematologicznie, przywrócił jej na chwilę poczucie rzeczywistości.

Roczny pobyt Sylwii i Samanty w szpitalu, z niewielkimi przerwami, przepustkami między jedną turą chemii a drugą, przebywanie nieustannie z dzieckiem – to wszystko wydało się Judycie heroizmem. Nie umiała ogarnąć wyobraźnią tych trzystu sześćdziesięciu pięciu dni męki doświadczanej przez Sylwię i jej córkę. Kobieta i dziewczynka walczyły z chorobą. Nie poddawały się. Podziwiała je i brała z nich przykład. Obiecała sobie, że jeśli ona

również będzie miała spędzić w szpitalu tyle czasu, podoba temu. Nie wiedziała, co tak naprawdę wypełnia szpitalny czas. Myślała, że będzie to „tylko” zmaganie się z białaczką.

Miała nadzieję, że odcinki czasu spędzane w szpitalu będą podobne do tych domowych, wyznaczanych przez sprzątanie, gotowanie obiadów, odprowadzanie Madzi do przedszkola, nieustanne kłótnie z mężem, lęk przed brakiem środków do życia. Jednak czas szpitalny płynął całkowicie odmiennie od tego sprzed choroby. Zegary były tu nakręcane nie wiadomo przez kogo i jak. Nagle wskazówki czasomierza mogły zatrzymać się gwałtownie, niezależnie od wyników badań, modlitw i planów rodziców, nadziei lekarzy i niewinności dzieci. Tak stało się z zegarem Samanty.

Śmierć dziecka w szpitalu jest najpierw słyszalna. Pielęgniarki przychodzą do małych pacjentów z lekami i milczą. Rodzice wyłączają telefony. Dzieci chowają do szuflad tablety. Wszystkie telewizory w pokojach jak na komendę gasną – zamieniają się w ciemny smutek.

– Pożegnasz się z Samantą? – zapytała Sylwia Judytę i odeszła.

9.

Szybko nauczył się liturgii nabożeństwa. Po czytaniu Starego i Nowego Testamentu przez starszego zboru szedł do pomieszczenia za organami. Drzwi zostawiał otwarte, żeby słyszeć „Wyznanie wiary”. Chwytał grube sznury i na parę sekund przed słowem „Wierzę” pociągał za nie. Po krótkim czasie dzwony odzywały się, przносиły swoje wibracje na sznur, a później na dłonie AZ. Słyszał każde słowo wiernych dobiegające z głównej nawy kościoła, synchronizował je z delikatnym mrowieniem w palcach i raz po raz pociągał za sznury, aż do ostatniego wersu wyznania: „I żywot wieczny. Amen”.

Wystarczyły dwa tygodnie pracy w parafii, by polubił swoje zajęcie. Był kościelnym. Wieszał wycięte z blachy numerki pieśni na czterech tablicach. Przed nabożeństwem stał wspólnie z pastorem Rolą na schodach przed wejściem do budynku i witał ludzi przychodzących się modlić. Czasem ktoś go zagadnął. Odpowiadał wtedy, że jest nowym pracownikiem parafii, następcą pana Zdzisława, który po ciężkiej chorobie serca odszedł do Ojca Niebieskiego.

Zarabiał niewiele. Starczało mu jednak na stałe opłaty domowe, wyżywienie i rzeczy niezbędne do pielęgnowania ogrodu. Jako kościelny mógł również dorabiać. Budynek kościoła był atrakcyjnym obiektem dla ludzi kultury i sztuki. Odbywały się tam koncerty organowe, firmy reklamowe kręciły spoty telewizyjne, studia filmowe nagrywały sceny do seriali. Ktoś musiał pilnować obiektu. Zgodnie z rozporządzeniem Kolegium Kościelnego, ciała administrującego parafią, robił to kościelny. Za dodatkową pracę, często do późnych godzin nocnych, dostawał wynagrodzenie. Poznawał przy tym

aktorów, producentów filmowych, dziennikarzy, muzyków o międzynarodowej sławie i ludzi znanych z mediów.

Tak więc w miejscu pracy AZ działy się przeróżne, interesujące dla niego wydarzenia, poszerzające jego nowe rozumienie świata. Jak ważna jest troska o dzieci oraz ich ochrona uświadomiła mu jeszcze dobitniej pewna nietypowa prośba dziennikarza telewizyjnego, który chciał w budynku kościoła nakręcić kilka scen do autorskiego filmu o pedofilii w Kościele.

Początkowo proboszcz Rola nie chciał się zgodzić na takie przedsięwzięcie. Nie znał żadnego z duchownych w swoim Kościele, o którym mógłby powiedzieć, że ma niestosowne skłonności do dzieci. Wyraził głośno swoje wątpliwości dziennikarzowi. Ten jednak zapewnił, że nie chodzi tu o duchownych z jego Kościoła, więc pastor wyraził zgodę. Poprosił kościelnego, by pomógł mu w przedsięwzięciu, gdyż AZ był odpowiedzialny za klucze do kościoła. Musiałby zostać w parafii do wieczora, co nie bardzo mu się uśmiechało, gdyż miał w planie odchwaszczanie ogrodu po ulewnych deszczach, które stały się plagą tego lata. Patrzył na swojego proboszcza, jakby nie rozumiał, o czym ten mówi. Wzruszył więc ramionami i zapytał:

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Fundamentalne! – odpowiedział pastor.

AZ uśmiechnął się. W pierwszej chwili miał wrażenie, jakby słuchał reklamy o środkach chemicznej ochrony roślin.

– Niech pan pomyśli – zaczął tłumaczyć pastor. – Taki film jest

ważny dla naszego zboru. Ważny dla wszystkich ludzi. To jest przestroga, że krzywdzenie dzieci nikomu na sucho nie ujdzie. Należy o tym głośno mówić.

W jednej chwili AZ pomyślał o Madzi. Ją szczególnie należy przed wszystkim chronić. Przypomniawszy sobie dzień, kiedy pierwszy raz zobaczył ją w Stowarzyszeniu Rodzin Abstynenckich. Ten dzień był dla niego szczególny, gdyż dowiedział się, że ma brata i że jest... uzdolniony plastycznie! To były ważne części odzyskiwania tożsamości. W trakcie jubileuszu brata w stowarzyszeniu narysował portret Madzi. Kiedy podarował dziewczynce obrazek, zatrzymała się przy nim zachwycona. Z zapatrzenia wyrwała ją jej mama.

– Ojej! – powiedziała zaskoczona Judyta Roztworowska. –
Przecież to ty. Podziękuj wujkowi.

Madzia zawstydziała się. Odebrała obrazek od AZ i pobiegła do dzieci, a jemu zdawało się przez moment, że kiedyś chyba malował.

10.

Dziennik AZ

Być może tak było z Madzią. Gdzieś po cichu w zakamarkach jej szpiku kostnego pojawił się mały kawałek perzu. Rósł, rozpychał się, aż zaczął odbierać jej pożywienie i wodę. Twarz dziewczynki na uroczystości w stowarzyszeniu była urocza i radosna. Gdy na białej kartce zobaczyła swoją buzię, głośno klaskała.

Pastor powiedział, że nie można krzywdzić dzieci. Podobnie mówią selery naciowe w ogrodzie. Są bardzo zdrowe i odporne. Stonka ziemniaczana ani bielonek kapustnik nie składają na ich liściach pomarańczowych kolonii jajeczek. Lubią też żartować. Zachwalają swoją przydatność dla zdrowia. Twierdzą, że ich sok pija najpiękniejsze modelki świata, ponieważ blokują odkładanie się tłuszczu na brzuchu. Jeden z nich napomknął, że sok wyciśnięty z jego łodygi usuwa toksyny z ciała ludzkiego i wspomaga chemiczne leczenie.

Selery zanurzone są w polu selerowym. Każdy seler, obojętnie gdzie urośnie, zna całą historię pozostałych, dlatego tak dużo wiedzą o sobie. Wyrosły w ogrodzie nieprzypadkowo. Ukrywają jakąś tajemnicę. Mówiły, że w ziemi, w ogrodzie pojawiło się coś złego. Dowiedziały się tego od krzaków agrestu. Nie chcą rozmawiać na ten temat. Przebakują, że wszystko wyjaśni się w odpowiednim czasie, kiedy wróci pamięć.

Lubią, jak ktoś się nimi opiekuje i prosi, by zdrowo wzrastały. Seler naciowy, tak jak pozostałe rośliny w ogrodzie, przestaje być

sobą, kiedy zasilany jest sztucznie. Wtedy jest sobą, gdy człowiek wie, czego ta roślina potrzebuje do życia. Rośliny pojawiają się na ziemi nie dlatego, by zaistnieć dla zaistnienia, ale żeby współgrać ze wszystkim, co je otacza. Korzystają ze słońca, piją deszcz z chmur, pozwalają, by się nimi opiekowano, szumią, gdy kołysze je wiatr, dają schronienie pająkom, muszkom i robaczkom. A kiedy przychodzi odpowiednia pora, oddają siebie najpiękniejszym modelkom albo chorym dzieciom. Seler jest dobry, ponieważ wzrasta do dobra.

Łodygi selera zgrubiały odpowiednio do zbioru, gdy zachorowała Madzia. Może właśnie dlatego, przez jej chorobę, tak szybko napęczniały sokami. Proboszcz Rola mówił podczas nabożeństwa, że dawno temu zdarzały się cudowne uzdrowienia. Dla ludzi jest to niezrozumiałe, niezwykle, ale tylko z pozoru. Czasem nie można wytłumaczyć słowami tego, co się stało. Jak opisać życie selera naciowego? Nikt nie mówi, że seler naciowy żyje, tylko że jest uprawiany. Uprawianie nie jest cudem. Ale wzrastanie jest. Kto opiekuje się rośliną, zadba również o dziecko.

31.

Dziennik Luty

Stasię wyciągnęli z podziemi kościoła parafii na Lesznie. Schowała się tam z kilkunastoma osobami przed uliczną łapanką. Była w ciąży. Myślała, że zaraz ją wypuszczą. Myliła się. Niemcy wciąż potrzebowali robotników w Rzeszy. Łapali ludzi jak zwierzęta i wywozili wagonami.

Oficer niemiecki, który segregował ludzi do wywózki, uznał, że Stasia ma wiele cech nordyckich. W pierwszej chwili wydawało się jej, że ma szczęście. Była w ciąży. Myślała, że w ten sposób uratuje siebie i dziecko przed pewną śmiercią w obozie koncentracyjnym.

Wiedziałam, ale nie tylko ja, wszyscy wiedzieli, że Niemcy wywożą niektóre dzieci do Rzeszy po to, by je zniemczyć. To była szansa dla Stasi i jej nienarodzonego dziecka. Przeliczyła się. A tak bardzo pragnęła, żeby chociaż jej dziecko przeżyło straszny czas wojny.

Niemieccy władcy życia i śmierci podczas wojny nie liczyli się z nikim i z niczym. Początkowo myślałam, że jest inaczej. Kiedy zajęli Kosterowo i dowiedzieli się, że znam niemiecki, traktowali mnie, męża i moją Madzię ulgowo. Namówili mnie, by w budynkach gospodarczych majątku zorganizować placówkę ambulatoryjną, w której pomagano by chorym matkom w ciąży i noworodkom. Zostałam tłumaczką. Zgodziłam się, choć wiedziałam, że moja zgoda nic nie znaczy. I tak zrobiliby po swojemu. Miałam jednak nadzieję, że mimo tragicznej sytuacji niemieccy lekarze pomogą mojej Madzi.

Tuż przed wybuchem wojny Madzia zachorowała. Lekarze stwierdzili, że ma chorobę szpiku kostnego. Zdawało się, że sprawa jest przesądzona. Jednak istniała nikła szansa na uratowanie dziecka. Badania nad tą chorobą prowadzili uczeni w Niemczech. Bardzo mocno uczepliłam się tej szansy. Zbierałam pieniądze na wyjazd do Berlina. Dowiadywałam się, w jaki sposób leczeni są chorzy na choroby szpiku. Stosowano niewielkie dawki arszeniku. Obiecująco wyglądały również badania z zastosowaniem gazu musztardowego. Niestety, wybuchła wojna. Nie traciłam jednak nadziei. Tłumaczyłam sobie, że skoro ja nie pojechałam do Niemców, oni przyszli do mnie.

Nikt wtedy nie wiedział, że właśnie zaczęło się piekło na ziemi. Stasia, podobnie jak ja, straciła swoje dziecko. Poznałyśmy się na robotach w Rzeszy. Ja byłam tłumaczką w robotniczym obozie, Stasia pracowała w pobliskiej fabryce.

Podczas drugiej segregacji w Oddziale Rasy i Osadnictwa, już na terenie Rzeszy, uznano, że przy pierwszej segregacji Stasia omyłkowo otrzymała typ N-F-Ob, co oznaczało, że jest mieszaniną nordycko-fallijsko-wschodnio-bałtycką, nadającą się do zniemczenia. Odebrano jej ten przywilej i przewieziono do obozu pracy. W niewoli, tuż przed Wigilią Bożego Narodzenia urodziła chłopca. Zima była wtedy strasznie mroźna. Po trzech dniach odpoczynku po porodzie Stasia musiała pójść do pracy. Wstawała o szóstej rano i w letniej sukience i podartym prochowcu szła do pobliskiej fabryki. Pracowała tam do siedemnastej. W międzyczasie miała przerwy na karmienie. Za każde przedłużenie pobytu z dzieckiem nadzorca grupy bił ją, uszczuplał rację żywnościową albo zabierał i tak nędzne wynagrodzenie.

Droga z baraku do fabryki zajmowała trzydzieści minut. Przez zimno i niedożywienie Stasia przeziębila siebie i pokarm. Nie miała co dawać dziecku do jedzenia. Niemcy przeznaczali dla maluszków pół litra mleka dziennie i trzydzieści dekagramów cukru na miesiąc. Postanowiła poprosić o pomoc Radę Główną Opiekuńczą, ale wtedy wszyscy w niewoli pisali do RGO. Tylko czy te prośby dochodziły na wskazany adres?

Stasia napisała krótką prośbę na adres w Krakowie:

W sierpniu zostałam wywieziona do Rzeszy. Również wszyscy z mojej rodziny zostali zabrani i pomieszczeni u baorów i w fabrykach, żeby pracować. Kiedy zbliżał się poród, umieszczono mnie w szpitalu. Leżałam tam tydzień. Kiedy urodziłam synka, od razu musiałam pracować. Z rodziny, która mogłaby się mną zaopiekować, wszyscy są w Rzeszy. Tu do rodziny nie chcą mnie przyłączyć. Jeśli to możliwe, prosiłabym o pomoc odzieżową, względnie żywnościową.

Zwracam się do Rady Głównej Opiekuńczej o uwolnienie mnie z Rzeszy i sprowadzenie do Generalnego Gubernatorstwa w celu umieszczenia mnie w jakimś Zakładzie Opiekuńczym aż do podreperowania mojego zdrowia i synka. Bardzo o to proszę.

Gdy wychodziła do pracy, błagała mnie, bym czasem wpadała do ich baraku, by spojrzeć na chłopczyka. Barak był w opłakanym stanie. Wszędzie szpary, przez który wiał mroźny wiatr. Nie miał kto naprawić popsutych drzwi. W szparach ścian było pełno pluskiew. Czasem przytulałam chłopczyka. Wkrótce mały rozchorował się na brzuszek. Stasia zostawiała synka pod łóżkiem chorej na zapalenie płuc z 40-stopniową gorączką. Było tam najcieplej. Maluszek płakał

nieustannie. Był głodny i gryzły go pluskwy. Ublągałam lekarza, by dał mu jakieś lekarstwo. Zgodził się, ale nic to nie pomogło. Dziecko jeszcze bardziej kaszało. Dostało wysokiej gorączki. Po trzech dniach umarło. Nie pamiętam, jak miało na imię. Chyba Kacperek.

Siedzę tu sama. Zostały mi tylko wspomnienia. Patrzę na ogród za oknem. Nie ma tam już mojego Gieńka ani córeczki. Pieliałam grządki z moją małą Madzią. Wspólnie zachwycałyśmy się, patrząc na jabłka w gałęziach i liściach. Dotykała ich rączką i śmiała się. Troszczyłam się o nią. Bałam się, że umrze. Gienek bardzo mnie wspierał. Miałam nadzieję i modliłam się o zdrowie córeczki. Tak naprawdę byłam bezradna wobec jej choroby, wobec wojny, wobec śmierci. Pytania jednak pozostały, a ja nie znam na nie odpowiedzi – nawet po ich śmierci.

Gienek umiał mnie uspokajać. Mówił, żebym nie pytała, bo odpowiedzi nie zawsze towarzyszą pytaniom. Miałam wtedy wrażenie, że w jego spokoju i prostocie znajdowały się odpowiedzi na wszystkie pytania. Samo jego bycie uspokajało mnie. Wszystko wydawało się łatwiejsze. Pytałam go czasem, jak to robi, że nigdy nie podnosi głosu, nie ma o nic pretensji i nie narzeka. Nawet jak złapali nas żandarmi, kiedy wieźliśmy żywność do sierocińca, i on wiedział, co za to grozi, nie stracił spokoju. Jego oczy były cały czas mądre. Nie było w nich nienawiści.

Odpowiadał mi, że spokój nie jest tym, o czym da się przeczytać. Mówił, że spokój może pojawić się przy pracy w ogrodzie, kiedy klęczy się na kolanach, wrywa chwasty i zaczyna boleć kręgosłup. Wtedy wyginał plecy do tyłu, żeby mniej go bolało. Mówił, że przy

odginaniu widzi niebo. Nie pytał, dlaczego jest wielkie. To była jego recepta na spokój. Patrzył i od patrzenia głos mu łagodniał. Podobnie mówił o narzekaniu i pretensji. Twierdził, że pretensja do bolącego kręgosłupa jest głupotą, tak jak narzekanie na ręce upačkane ziemią. Jego sentencje były czasem śmieszne. Nie rozumiałam ich. Bo jak pojąć to, że pytania są niepotrzebne. Mówił, że albo się wrywa chwasty, albo ogród zarasta. Albo wozi się żywność furmanką, albo dzieci są głodne.

To była jego jakaś dziwna właściwość. Czasem czuję, że ona jest gdzieś we mnie, ale to jest tak wielkie jak niebo, o którym mówił Gienek. Ciągle ją czymś przygniatam. Chyba wspomnieniami, które nie opuszczają mnie ani na krok. Zapomniałam już tak wiele, ale dzięki temu jest mi lżej. Pamiętam dzieciństwo. Kiedy zostawałam sama w domu, nikt mi nie przeszkadzał, do niczego się nie spieszyłam. Czułam ten spokój, o którym mówił i który był w nim nieustannie. Wydawało mi się wtedy, że wszystko jest piękne i wszystko chciałam przytulać do siebie.

38.

Dziennik AZ

W zacienionym miejscu selery naciowe, marchew czy buraki wznoszą się wolniej. Sałata lubi mniej światła i niższe temperatury. Rośnie więc w cieniu rozłożystej sosny, żeby nabierać słodkości. Madzia wciąż dopominała się, żeby w sokach było mniej jarmużu, natki pietruszki, a więcej sałaty, która łagodzi cierpkość.

Proboszcz Rola wspólnie z członkami kolegium kościelnego interesowali się postępami w leczeniu Madzi. Na jednym ze spotkań szacownego grona, gdy dowiedziano się, że dziewczynka wraca do zdrowia, a szpik dawcy zgrał się idealnie z jej odpornością, postanowiono zorganizować „Bal Łysoli”, na który mogła zaprosić swoich przyjaciół leczących się onkologicznie. Pastor osobiście pojechał do Madzi, by jej to obwieścić. Wiedział, że cierpną jej plecy, gdy pije gorzkie zielone soki, więc wziął ze sobą ciasteczka, by umilić jej życie słodkościami. Oprócz przekazania radosnej decyzji o „Balu Łysoli”, o którym dziewczynka marzyła, chciał porozmawiać z nią o różnych rzeczach. Przed spotkaniem wyznał przed kolegium, że z dziećmi trzeba rozmawiać szczerze i rzeczowo i być przygotowanym na trudne pytania.

Madzia była przeszcześliwa, zostając główną organizatorką balu. Miała do dyspozycji dużą salę w budynku parafii, wielki ledowy ekran do wyświetlania bajek, wyposażoną kuchnię i sporą sumę pieniędzy, przyznaną przez kolegium kościelne na poczęstunek dla gości.

Dziewczynka opowiedziała o balu babci i zwierzyła się, że trochę się wstydzi spotkania z pastorem, który ma żonę i syna. Podczas leczenia w szpitalu dowiedziała się bowiem od katechety, że duchowni żyją samotnie.

– Ale dlaczego jedni duchowni mogą mieć dzieci, a inni nie? – dopytywała babcię.

Julia z grubsza wytłumaczyła wnuczce, że jedni i drudzy prowadzą nabożeństwa w kościołach, ale pastory mogą się żenić, natomiast księża nie. Wyjaśnienia babci nie zaspokoili ciekawości dziecka i Madzia postanowiła osobiście zapytać o to wszystko pastora Rolę podczas ich spotkania.

Pastor wiedział, że sporej części ludzi trudno zaakceptować porządek, zgodnie z którym duchowny żyje jak każdy inny człowiek. Nie był więc zaskoczony ciekawością Madzi. Gdy zapytała go o żonę i dzieci, odpowiedział jej rzeczowo i prosto. Uważał, że musi być uczciwy wobec dziecka doświadczonego przez chorobę i ojca, który przestał się nią opiekować. Dodał więc, że się rozwiódł.

Rozmowa przyniosła mu ulgę, Madzi chyba również. Zdawał sobie sprawę, że dziewczynka, tak jak jego syn, bardzo przeżyła rozstanie rodziców. Patrzył w jej mądre oczy, jakby próbował wnikać w jej uczucia i zrozumieć, co może czuć teraz jego syn. Obarczał siebie winą za to, co się stało z jego rodziną. Widać było, że próbuje wyjaśnić Madzi, w jakiej znalazł się sytuacji. Wyjaśnił, że w małżeństwie było mu nieprzyjemnie.

Mówienie o tym, czy żyje się dla przyjemności, czy dla czego

innego, jest dość dziwne. Rozwód oznacza, że ludzie przestają się lubić, tracą życzliwość. Sałacie jest nieprzyjemnie, gdy ktoś ją posadzi w pełnym słońcu. Każdy jednak, kto opiekuje się ziemią, nie posadzi sałaty latem w południowej części ogrodu, ponieważ wie, jak w październiku będzie wyglądała sałata posadzona w sierpniu. Po cóż więc świadomie narażać rośliny na nieprzyjemności?

Podobnie było z rozmową Madzi z pastorem. Żadne z nich nie pytało, o czym będą rozmawiać, choć domyślali się tego i jakoś planowali. Spotkali się i nie rozprawiali, co będzie lepsze, a co gorsze. Dziewczynka dowiedziała się o „Balu Łysoli”, choć na to nie liczyła. Pastor usłyszał pytanie, którego się nie spodziewał. Odpowiedział na nie bez przygotowania. Rozmawiali tak, jakby to sałata prosiła o zacienione miejsce do swojego wzrastania. Madzia zrozumiała różnicę między księdzem a pastorem. Cieszyła się z balu. Była wdzięczna pastorowi i kolegium kościelnemu. Duchowny poczuł ulgę. Nie spodziewał się, że z małą dziewczynką można rozmawiać o męskich problemach. Polubili się.

Może żona pastora Roli również prosiła męża o zacienione miejsce, ale on jej nie zrozumiał albo nie usłyszał, co do niego mówi? Podobnie proboszcz mógł prosić żonę o pokój od południowej strony, bo to dla niego najlepsze miejsce do pracy, ale ona tego nie rozumiała? Ich rozmowa nigdy nie zaistniała. Może dlatego się rozstali.

To było tak, jak z podobizną Madzi na kartce. Ktoś ją narysował, ale sam rysujący nie wiedział, kto jest autorem dzieła, jakiej użył techniki przy rysowaniu ani jakie jest przeznaczenie obrazka. Jakby

nie było początku i końca, jakby zatrzymał się czas, ale nie w bezruchu, tylko w niezliczonych początkach i końcach jednocześnie, pulsował i ogarniał wszystko bez wczoraj i jutro. Nie upierał się, że obrazek ma wisieć w pełnym świetle słońca, czy też w jego zachodzących promieniach.

Może z pamięcią jest tak, że ona znika, gdy człowiek ma już dość ciągłego słuchania o lepszej przyszłości? O tym, że dzięki różnym sposobom przyszłość stanie się cudowna – dzięki reklamom na ulicy, cudownym modlitwom zapisanym w Biblii... Albo wierzy zasłyszonym słowom w tramwaju, nakłaniającym do tego, by jednych popierać, a drugich delegalizować. Kiedy okazuje się, że wspaniała przyszłość nie nadchodzi, na wierzch wypływa fałsz wszystkich wymyślonych sztuczek. Przychodzi zrozumienie, że prawda nie ma korzeni w przyszłości, tylko jest odpowiednim zrozumieniem przeszłości i jej odpowiednią akceptacją.

Wybory są bardzo trudne. Gdy ktoś nie wie, co ma zrobić albo jak postąpić, może zapytać o to sałatę albo tymianek. Mało jest ludzi, którzy rozmawiają z roślinami, choć tak naprawdę wszyscy mogą to robić. Słuchanie szelestu liści, patrzenie na wzrastanie łodyg, obserwacja kwiatów to odpowiednia rozmowa, by dowiedzieć się, która roślina lubi pełne słońce, a która półcień, która lubi towarzystwo bazylii, a która majeranku. O tym wszystkim można przeczytać w różnych książkach. Lecz ogród jest w nieustannym ruchu. Wciąż się zmienia. Wiedza w poradnikach nie rusza się, jest zamkniętą całością i jeszcze nikt nie napisał takiej książki, która przewidziałaby wszystko.

Proboszcz Rola mówił, że takim poradnikiem jest Biblia, która

zawiera wszystko, czego potrzeba człowiekowi, by żyć w zgodzie z sobą i innymi. Ale praktyka wygląda trochę inaczej. W Piśmie Świętym jest rozdział, który mówi, że należy opiekować się ziemią. Ale to tylko słowa, które opisują widzenie cząstkowe. Opis ziemi nie jest tym samym co ziemia, bo ziemia to słuchanie tego, co ona mówi, tego, co ma w swoim wnętrzu, tego, czym obdarza rośliny i człowieka – jest krążeniem, oddychaniem, przyciąganiem i rodzeniem. Jest milionem rzeczy, które żyją i umierają w niej, więc nie sposób opisać takiej złożoności jednym słowem ani nawet tysiącem słów.

Czasem należy sprawić, by słowa straciły znaczenie. Po takim wygumkowaniu dobrze jest uważnie i spokojnie patrzeć i słuchać. Wtedy ziemię widzi się i słyszy w jednym momencie. W czystych, niezaśmieconych zdaniach, między pierwszą literą a ostatnią pojawia się ziemia w całej okazałości. Zaczyna przemawiać nowo stawianymi literami. Pojawiające się zdania mówią o tym, jak się nią opiekować.

Ale też nie zawsze patwienie i słuchanie wystarczą, bo przecież Madzia zamiast chodzić do szkoły i bawić się na palcu zabaw, spędziła kilka lat w szpitalach i zrobiono jej przeszczep szpiku. Rozmowy z roślinami nie zawsze przynoszą rozwiązania i odpowiedzi. Gdyby tak było, mały Pocziwek nie umarłby tak wcześnie.

Rośliny mają swoje sekrety, tak jak ziemia swoje. Nie wszystko zdradzą. Powiązań między roślinami, człowiekiem i ziemią jest bardzo wiele i jeszcze nikt na świecie nie napisał poradnika, w którym opisane byłyby wszystkie powiązania. A nawet, gdyby znalazł się ktoś niezwykle mądry i przenikliwy i napisał poradnik, w którym opisałby

sposoby leczenia roślinami wszystkich chorób, to przecież po skończeniu tego dzieła pojawiłyby się nowe okoliczności patrzenia i słuchania. Po przeczytaniu książki o leczeniu, napisanej w duchu życzliwości i dobra, człowiek na nowo widzi pewne sprawy i z tego nowego w powiązaniu ze starym rozkwitają kolejne więzi łączące ziemię, człowieka i rośliny, co wpływa na choroby, leczenie, smutek agrestu i słodkość sałaty. Czasem trzeba wielu lat, by niektóre choroby zmieniły się w zdrowie.

Madzia wyzdrowiała po kilku latach. Krzaczkom agrestu potrzebny był o wiele dłuższy czas. Selery naciowe wielokrotnie mówiły, że w ogrodzie, w korzeniach agrestu kryje się jakiś smutek. Pewnie same nie wiedziały, co takiego się stało. Ogród czekał na odpowiedni czas i odpowiednią godzinę, by czas zabijania zmienił się w czas leczenia.

Selery naciowe dotrzymały słowa. Pokazały jeżom, gdzie powinny założyć gniazdo. Był wtedy ciepły poranek. Pachniało żywicą. Między rzędami zawiązujących się główek sałaty leżało zeschnięte igliwie. W gałęziach sosny uwijały się wróble. W końcu ogrodu, na jednej z brzoź przysiadła sroka. Swoim skrzekiem płoszyła wróble. Długim czarnym ogonem utrzymywała równowagę. Szła po gałęzi sztywno jak żołnierz podczas musztry, lekko kołysząc się na boki. Oczy miała ruchliwe. Była czujna. Raz po raz skrzeczała i rozglądała się na boki. Podmuch wiatru rozkołysał zielone igły sosny. Zapach żywicy przemieszał się z aromatem tymianku. Nagle rozległ dziwny gwizd. Na wydeptanej ścieżce prowadzącej do kompostu stał duży jeż. Dreptał w różne strony. Zatrzymywał się co chwilę, rozglądał. Zaczął gwizdać. Nawoływał swoje dzieci. Wskazywał,

którędy mają iść, by się nie zgubiły.

Na ścieżce pojawiły się trzy małe jeżyki. Bezbłędnie kierowały się po wyznaczonej gwizdem taty lub mamy drodze w kierunku kryjówki, dużej kuli uplecionej z gałązek, suchej trawy i liści. Zwierzątka były malutkie. Kolce miały jeszcze mięciutkie. Były zdezorientowane. Słabo widziały. Bezbłędnie jednak rozpoznawały drogę, kierując się dźwiękiem. Maleństwa zniknęły w zaroślach pod krzakami agrestu.

37.

Zwróciła głowę w stronę męża. Nadal nie rozumiała, jak to się działo, że AZ świetnie sobie radził w codziennym życiu. Sprzątał, robił zakupy, pracował, uprawiał ogród, wspierał chorą dziewczynkę. A w dzienniku udostępnionym jej przez terapeutę Adama pisał o rzeczach, które często były jej obce. Ona w tym czasie zmagła się sama ze sobą, ze smutkiem, który towarzyszył jej nieustannie, z pragnieniem, by wszystko było tak jak dawniej, by mieć poczucie ciągłości życia i bezpieczeństwa. Wiele udało jej się pomieścić w głowie, nadal jednak broniła się przed niektórymi refleksjami zaburzającymi logikę. Pojawiające się spontanicznie myśli były tak oczywiste... A jednak je odrzucała. Dlaczego, zadawała sobie pytanie, moje myśli krążą wokół ziemi? Gdy racjonalnie usiłowała powiązać wydarzenia z ostatnich czterech lat, obsesyjnie i irracjonalnie powracał do niej obraz rodzinnej ziemi Cypriana. Jak to możliwe, że ogród wokół ich domu, ziemia, która od wieków należała do rodziny Kosterów, w niepojęty sposób przechowuje w swoim wnętrzu, w jakiejś nieokreślonej głębi, niby w sejfie, różne zdarzenia i opowiada historię ludzi, którzy dawno odeszli?

Fakty były dla niej faktami. Ale jak rozumieć ich powiązania tak odległe w czasie? Córka ciotki Luty, Madzia, choć zmarła w czasie okupacji, stała się tak bardzo obecna w życiu AZ poprzez zmaganie się z chorobą tej współczesnej Madzi. Jednej Madzi już nie było, druga niejako otrzymała drugie życie po udanym przeszczepie szpiku. Chwilami, gdy Agata czytała dziennik Luty i dziennik AZ, wydawało jej się, że te dwie dziewczynki, o tym samym imieniu, to jedna osoba. Zauważyła przy tym, że czas jest w pewnym sensie iluzją, niezbędną

jednak w życiu ludzi, by losy dwóch małych istot splotły się z sobą w następstwie zdarzeń i pokazały, że jedno istnienie może dopełnić inne.